

Teksty Drugie 1990, 4 , s. 173-178



Ignacy

Wiesław Grabowski

Pożegnania

Wiesław Grabowski

Ignacy

Dzwonek, wchodzi Ignacy. Witaj na wsi! I już torba na podłodze, kaptcie wywleka z szafki... zadowolony. Torba: szmaciana, nieforemna, dziadowska, wypchana na tobolek. Makaron, książki, gazetki, słoiki, kawa.

— oj Danka, zmielesz mi kawę

— oj Wiesiek, żebym nie zapomniał, miałeś kiedyś taką korbę

— mam mam

— to wyciągnij, żebym nie zapomniał

Tymczasem Danuta z misją w kuchni. „Zaraz zjemy Ignasiu, tylko się kartofelki dogotują.” Tymczasem Ignacy załatwia drobne sprawy. Telefony, siusiu, przepakowania. „Zostawię ten makaron, do następnego razu.” Ktoś mówi o wyższości kaszy gryczanej.

Kawałek domu ma tu ten koczownik, kawałek — w torbie, a jeszcze ile? Do tego pobliskie sklepy, ważne na całą Warszawę. Więc bywa telefon i — oj sprawdziłbyś, czy mają listwy... przyjechałbym przed zamknięciem...

Wreszcie: gdzie jest kociołek? (gliniana popielniczka z Grecji, ma taki kształt). Siadamy.

Wieczór gęstnieje. Ciepło przez okno. Od Stanisława Kostki głos księdza. Głos dobrze ustawiony, równe i mocne kadencje. Przyjemnie słuchać. Nie wiemy co mówi, ale to jest wyważona, muzyczna argumentacja bez skazy. Ale co... minęło, i zaczęło się myczenie. Ojczyyy-zno ma!

— narzekałeś to masz, zamiast dzwonów Huizingi

(bo niedawno wydziwiał Ignacy na *Jesień Średniowiecza*, że tylko czaruje obrazami, z dźwiękiem dzwonów jako dominantą życia: jak Europa długa i szeroka, regulują one jednostajnie każdy dzień każdego, od świtu do zmroku) — Ojczyyy-zno ma!!

Darcie szmat. Powrót do obory. Nasza dusza zbiorowa, czyli Kicz

— kicz, wiodący lud na barykady

Rozgadujemy się zgodnie, na trzy głosy. Gruboskórność jest grzechem. Z niej się bierze ten stosunek do zwierząt. Do sąsiadów, obcych. Do Żydów. (Żydzi, to co innego, precyzuje Ignacy, to metafizyczne. Jako wróg ludzkości). Szczęście, że u nas to jest miękkie, ciapowate, bez krwi przelewu. Miękkosć we wszystkim, od antysemityzmu do koloryzmu (w malarstwie). Tyle że upokorzenie boli bardziej.

— tak czy owak, naród wybrany... w złą godzinę

— a wiesz — przypomniał sobie nagle — przeczytałem twego Szatyna

(*Na aryjskich papierach*, tytuł mówi za siebie, na to namawiałem)

— ... i nie bardzo... on myślał tylko o sobie! jak przeżyć

To jest Ignacy — choć głową w mur! Bronię Szatyna, zachwycam się wspomnieniem o pławieniu koni w Sanie, z dzieciństwa. Na próżno. Pamiętniki zresztą, uważa Ignacy, są gatunkiem samoułudy, zamiast rzeczywistych spraw dają ich późne wrażenie. Co innego studium historii. Polska i sąsiedzi, systematycznie. To konik Ignasia, jeden z kilku. Teraz — czy mam coś o Litwie? Nie mam.

Mija szara godzina, podbita melodią zaokienną, od-kościelną, bu-ro-białoczerwoną. Ojczyznama dawno zrobiła swoje, i może nawet, kto wie, raz jeszcze, jak nie raz dotąd, spłynęło jak po gęsiach „Stawam na placu z Boga ordynansu”... Danka z Ignacym obgadują pracę, Danki instytut. Robi się z tego jakiś Balzac — kryminał, portret obyczajowy i traktat polityczny naraz. Słucham jak dziecko i jednocześnie owijam w gazetę korbę

— rany boskie, Wiesiek, co ty czytasz?!

więc odwijam z powrotem. Na pierwszej stronie „Czerwonego Sztandaru” duża fotografia pierwszomajowej trybuny. Reprodukacja słabiutka, widać tylko ciemne, uproszczone sylwety ludzi i konstrukcji. Tym bardziej uderza czytelność tego ikonostasu. Ignacy wciąga się, studiuje. Z dużego prostokąta pudła wysterka do góry rząd kilkunastu małych prostokątów. Liczba ich jest nieparzysta. Musi być, żeby jeden był dokładnie w środku, a musi być w środku, bo jest najważniejszy. Na lewo od niego tkwią trzy prostokąty podwójnej szerokości, dalej reszta. Na prawo tak samo, jak w lustrze. To marszałki, domyślam się o podwójnych, ale Ignas decyduje inaczej: generały, Wilno za małe na marszałków. Śmiejemy się, insynuujemy.

- zgrzebło?
- dolna szczęka
- strzelnica
- nie wyszło zbyt zabawnie... zawijaj.

I w tym rozchybotaniu wszystko przetoczyło się na „sytuację”. To dopiero pasja Ignacego, a optymizm! Nieraz ledwo wejdzie, siądzie i

- dobra jest sytuacja, co?

na przykład Afganistan:

- ale posłuchaj, tam każdy jest kłusownikiem, człowiek bez strzelby nieważny, a helikopter leci nisko i ma taki słaby punkt, tu nie ma siły... pamiętam nawet:

— to już się nie daje latać, brak im wszystkiego, wszędzie, sypie się... do osiemdziesiątego czwartego? nie dociągną, nie ma mowy, co ty!

ale łupnąć chyba mogą jeszcze, tylko na razie jest inna kalkulacja?

- a chcieliby, pewnie, tylko że nima kim, nima ludzi, dziś każdy cwaniaczek namyśli się dwa razy...

głupia perspektywa, że hołota zacznie się jeszcze pchać do S.?

- a żebyś wiedział!

Ignacy nie ma nadziei, ma pewność. Ma „wyrobiony stosunek do wszystkiego” (jak kiedyś, ktoś, zupełnie inny, powiedział o samym sobie). Jego zwyczajność i jego dziwaczenia są z linii tej samej konsekwencji. O, raz

telefon: leć... możesz? szybko na Krasieńskiego, kup ryżę papieru, właśnie sprzedają

- tylko jedną?

— sprzedają po jednej, no może ci dadzą dwie, jedna dziewczyna dostała dwie Poszedłem, rozejrzałem się, kupiłem dziesięć. Aż trudno było ogarnąć, wyslizgiwały się, ale po drodze stały ławki, można było przystawać, poprawiać. Dało się donieść.

Za parę dni przychodzi, pokazuję z dumą, co za cezaryczny triumf. A on

- a wiesz, obserwowałem cię wtedy, z odległości...

Jedna śmierć sama konspirowała konsekwentniej, tylko nikt o tym nie wiedział. Wtedy.

Dlatego różne głupoty przedkładam Ignacemu do ekspertyzy. Teraz było tak. Czyściłem buty na otwartej przestrzeni między blokami. Oparłem stopę na słupku, z tych co chronią trawniki przed samochodami, oparłem i czyszczę, a tu przechodzi milicjant, zatrzymuje się i dalejże: a co robię (buty sobie czyszczę), a dlaczego tu, a gdzie mieszkam, a to dziwne. Odpowiadałem prosto i szczerze, nie przerywając czyszczenia, kolejno

zdziwiony, rozbawiony i zniecierpliwiony, ale on odszedł chyba nie całkiem pocieszony. Ignacy komentuje

— co ty chcesz od biednego milicjanta, przecież to masówka, ich jest masa, szkolenie masowe, takie żeby każdy mógł się nauczyć, nastawienie na ilość, jak jest tysiąc nawet przypadkowych sprawdzeń to zawsze coś się zahaczy, ogólna reguła taka że cokolwiek choć trochę odbiega od normy to już warto sprawdzić

i po namyśle

— widocznie ludzie na ogół nie czyszczą butów poza domem.

Objasnił. Skalibrował. Wysnuł morał.

Przechodzimy do drugiego pokoju, od Stanisława Kostki do Karola Boromeusza. Widać światelko na kopule kościoła i w ogóle cisza, spokój — choć nie dlatego że Boromeusz, tylko dlatego że wejścia na klatki schodowe, same klatki, dzieci na dole i wreszcie sam Stanisław Kostka, wszystko to zostaje po tamtej stronie. Tu jest możliwa inna muzyka. Szukam w płytach, znajduję coś dla nas wszystkich: Mahalia Jackson. Ekstacyczna, od pierwszej chwili. Nogi bym jej całował!, wołam z przekonaniem, a Ignas zastanawia się, waha, dobiera:

— a ja...Danuty Rinn.

Dobra jest w Ignacym ta szczypta Brzeskiej. Potrzebna. Tu się pichci nowa wrażliwość, chwilami „przepalona”, trudno, ale żywsza, prawdziwsza, stosowniejsza do tego innego świata dookoła. „Już nic być nie może jak było” to może nie cytat — może nikt nie powiedział ani napisał dokładnie tak — ale wygląda jakby sto milionów powiedziało to sobie w myśli. Podobno Józef Czapski — ten święty Józef — nie mógł sobie przypomnieć nazwiska jakiegoś enkawudysty:

— zaraz, zaraz... jak się ten skurwysyn nazywał?

A jednak. Przebijają się — przebiło — przez to wszystko, mimo wszystko — ...down by the riverside

... ..

Down!

Down!

— — i ćwiek wbity.

Wybieram następną płytę, z muzyką cerkiewną, ale na Ignasia późno już. Spogląda tylko na kopertowy wizerunek i pyta, czy rzeczywiście Mikołaj został wykreślony z pocztu świętych, jako osoba nigdy nie istniejąca? Nie wiem, martwię się. Przypuśćmy że tak, to czy dotyczy to prawosławnych? Chyba nie, bo czy ikona nie jest dowodem na istnienie? A jak ikona Mikołaja mogłaby móc nie być ikoną? Nie tylko modlili się do niej (do

niego) święci, ale i malowali ją, kierowani nieomylną wizją. W dodatku Mikołaj to nie *byle* jaki święty. Jak ruszyć Mikołaja, to spruje się wszystko. A ze świeckiego kąta patrząc, skąd by się wziął Mikołaj, jeżeli go nie było? Z plotek? Z językowej pomyłki, jak Paraskewa-Piatnica albo święta Zofia? Nawet dzisiaj — wprawdzie się już nie mnoży, ale za to przekręca. Stany Zjednoczone, **Błękitna rapsodia**. Co by się z tego mogło kiedyś urodzić — święty Rapsod?

— święty Rapsodyk

— tak tak, święty Rapsodyk Irlandzki

— albo Celtycki

Nie rozstrzygnie się już niczego. Doprzedza się wieczór, dokręca Mahalia, dopija resztki. Uprzedzała Danka, że miesiąc trzeźwości, ale Ignas popatrzał poważnie i zadekretował: nas to nie dotyczy, tylko pijaków. Wszystko jedno, teraz to już bezprzedmiotowe. Od pięciu minut anachronizm. Więc co? Jeszcze tylko wstępna umowa na spacer po „puszczy”, i torba, i korba, i powinno się zdążyć na ostatni tramwaj. Twarz Ignacego pociemniona od zmęczenia, pojaśniona od uśmiechu — na podeście znika.

To tylko wspomnienie, wieczór był dawno, Ignacy nie żyje. W najwyższym stopniu nie ma go. Notować zacząłem w dzień, kończę prawie w nocy, jestem zmęczony. Nagle te dwa wieczory, ten i tamten, przedstawiają mi się jako dwa czarne arkusze papieru, leżące przede mną płasko na biurku. Zapadam w ich mrok i ślepe, rozlane obszary nocy ogarniają mnie. Jednocześnie widzę: arkusze te żyją własnym życiem i właśnie zetknęły się ze sobą krawędziami. Jeszcze tylko prześwit, wąziutki jak ostrze noża, przeży się między nimi, ale za mgnienie oka zniknie i on. Arkusze połączą się ostatecznie i można będzie przejść z wieczoru do wieczoru, przeżyć jeden wieczór rozleglejszy niż wszystkie. Istnienie prześwitu — tak marginalne, tak naocznie u kresu, już-już przemieniane w błysk, tyleż pożegnalny co powitalny — nie może być niczym niepokojącym, żadnym zagrożeniem, żadną przeszkodą. To żaden problem, przeciwnie — wydaje się, że ta cienka, jasna kreska zawahała się z definitywnym zniknięciem tylko po to, żeby życzliwie zwrócić uwagę i podkreślić, przez delikatną lecz stanowczą obecność, cud zjednoczenia, jedyny moment, kiedy z dwóch robi się jeden. Inaczej przecież moglibyśmy w ogóle tego nie zauważyć, inaczej byłoby przecież możliwe, że najpierw widzielibyśmy po prostu dwa arkusze, a potem po prostu jeden. Przez niewytłumaczalną łaskawość ktoś albo coś — jaka słodycz niewiedzy — pozwala mi oto być świadkiem, a za moment i uczestnikiem, jedynego Zdarzenia. Drzę cały, cały jestem w spojrzeniu

i spięciu do skoku. Byle nie przegapić! Niech tylko błysnie! Wtem szpara krótko siorbnęła, i wszystkie znaki z lewego arkusza, on sam i cały tamten wieczór ze wszystkim, co w nim było i wszystkim, co tylko być mogło, przepadły w nią na zawsze.